



Kryminał z myszką

80

**Malwina
przegrała
milion**

**Anna
Kłodzińska**

Anna Kłodzińska

MALWINA PRZEGRAŁA MILION

Kryminał z myszką – Tom 80

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-14-3

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1984, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Trzasnęły drzwi w korytarzu; na wpół przymknięte okno zamknęło się z hukiem. Sosnowiecki wzdrygnął się i mruknął:

– Co za wichura!

– Całą noc tak wyło – dorzucił Sawicz. – Kiedy szedłem rano przez plac, kawał blachy rąbnął w skodę, zaparkowaną na chodniku.

– W twoją?

– Gdzie tam. Człowieku, myślisz, że ja bym tu tak spokojnie siedział? Wczoraj... – urwał, bo ktoś biegł korytarzem i gwałtownie otworzył drzwi. Wpadł inżynier Jabłoński.

– Słuchajcie! – zawołał. – Żabojady strajkują!

Obaj koledzy spojrzeli najpierw na siebie, potem na niego.

– Że co? – zirytował się najstarszy wiekiem i stanowiskiem Sosnowiecki. – Mów po ludzku.

– Francuzi, mówię przecież. Wyjeżdżają.

Sawicz wstał, przełożył jakieś papiery na biurku, usiadł z powrotem. Nie mógł, nie chciał uwierzyć; choć spodziewali się tego od jakiegoś czasu, wciąż myślał, że jednak da się wszystko pomyślnie załatwić.

– Jak to: wyjeżdżają? – wybuchnął z gniewem. – Wszyscy?

– Wszyscy – potwierdził Jabłoński. Zrzucił kurtkę i czapkę, stanął przy oknie.

– Tak po prostu, wyjeżdżają? W ogóle?

– W ogóle.

– No, a montaż? Przecież niedługo nadejdą części, te reklamowane... przecież... a „Cameron”? Jest w kontrakcie. A te... ten – jąkał się ze zdenerwowania. – A katalizatory?

– Te reklamowane części już z Francji nie wrócą. Odmówili. Odmawiają wszystkiego.

Również „Cameronu”. A o katalizatorach możemy tylko pomarzyć.

– Janusz, ty serio? – Sosnowiecki patrzył z niedowierzaniem. – I skąd to wiesz?

– Stary mi mówił. Byłem teraz u niego w sprawie trzeciego konwertora. Jak to usłyszałem, to mi się odechciało wszystkiego. Stary zły, ścięty. Postarzał się jakby przez te ostatnie tygodnie.

– Poczekaj. Przecież Francuzi nie mogą tak nagle zerwać olbrzymiego kontraktu!

– Okazuje się, że mogą.

– Rozmawiałeś z którymś? Znasz tam kilku inżynierów, mówisz dobrze po francusku.

Niektórzy wydawali się całkiem sympatyczni. Co sądzi o tym, powiedzmy, Charles? Albo ten chudy z czarnym wąsem, jak mu tam? Aha, Toutain. Grywał z tobą w brydża. Gadałeś z nimi?

Jabłoński wzruszył ramionami. Odszedł od okna, usiadł przy swoim biurku.

– Charles wyjechał już wczoraj, nawet się nie pożegnał. Podobno bardzo mu się śpieszyło. Rozmawiałem tylko z technikiem, Michele. Wpierw się wykręcał, że nic nie wie, potem, że mu nie wolno, a kiedy się rozzłościłem i zacząłem od „merde” i takich słówek, szepnął mu do ucha: „To nie my”. Spytałem: „No, więc kto?” Odparł, że on chce jeszcze trochę w swojej firmie popracować. I uciekł. Cóż, boi się.

Trzej inżynierowie milczeli czas jakiś. Sawicz pogwizdywał i bębnił palcami do taktu. Jego ładna, pociągła twarz z dwoma czarnymi krechami gęstych brwi i prostym nosem miała taki wyraz, jakby chciał rzucić wyzwanie całemu światu. Był z nich najmłodszy, do Zakładów „C-12” przyjechał pełen energii; wierzył, że przy budowie wytwórni znajdzie dla siebie wielkie pole do popisu.

– Nie mogę zrozumieć! – wykrzyknął. – Taki kontrakt na trzy wytwórnie to przecież dla ich firmy doskonały interes. Mogą nas lubić albo nie, ale chyba umieją liczyć. Coś ty mówił,

Janusz, o częściach, które wysłaliśmy do Francji? Wiesz, tych do poprawek albo uzupełnienia?

– Powiedziałem, że już ich nie dostaniemy. Po prostu odmówili wysyłki.

– Ależ to jest w ogóle bez precedensu! Takie rzeczy w międzynarodowym handlu... – urwał, bo zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. – Sawicz... Dobrze, przyjdziemy.

Wstał, popatrzył na zegarek.

– Kto dzwonił? – spytał Sosnowiecki. Myślni był wciąż przy nieoczekiwanej, a złej nowinie.

– Jola, z sekretariatu. Za dziesięć minut mamy przyjść do dyrektora. Stary zarządził naradę.

– Pewnie w związku z Francuzami – rzekł Jabłoński. – Ciekawe, co on wymyśli.

– A cóż tu można wymyślić? Leżymy z produkcją jak te neptki. Do uruchomienia brakuje tyłu rzeczy, że... Z pustego i Salomon, wiadomo.

*

Zawadzki, naczelny dyrektor Zakładów „C-12”, rzeczywiście wyglądał, jakby mu przybyło z dziesięć lat. Inżynierowie i technicy, zebrani w sali konferencyjnej, dostrzegli drżenie rąk, dwie długie bruzdy na policzkach i pasmo siwych włosów, których jeszcze tydzień temu z pewnością nie było. Widział te ukradkowe, zażenowane spojrzenia. Uśmiechnął się ironicznie i, swoim zwyczajem bez owijania w bawełnę, powiedział:

– Razem, moi panowie! Wspólnie będziemy jedli tę żabę... – przerwał, bo sala wybuchnęła śmiechem. – Jeżeli można się tak wyrazić: tę francuską żabę. – Powiódł wzrokiem po zebranych, pokiwał głową. – Sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Ale ja nie mam zamiaru brać na siebie całego ciężaru. Wszyscy, jak tu siedzimy, musimy wyteńczyć mózgi i znaleźć jakieś sensowne wyjście.

– Może pan poda trochę szczegółów, dyrektorze – poprosił Sosnowiecki. Skubał w zamyśleniu rudawą brodę. Czuł przykry ucisk w okolicach serca i pomyślał, że to przez ten wiatr. Źle znosił nagłe zmiany ciśnienia, zwłaszcza niż.

Zawadzki spojrział na leżące przed nim notatki.

– Więc tak – podjął. – Jak wszyscy wiemy, kontrakt z francuską firmą ANL na trzy wytwórnie: amoniaku, mocznika i nawozów NPK, dla naszych zakładów przewiduje dostawy maszyn, urządzeń, technologii oraz siedmiu ton katalizatora. Kredyt, zgodnie z umową rządów Polski i Francji, udzielony był na dziesięć lat. Bank – dokładnie: Banque Française de Commerce w imieniu konsorcjum banków francuskich przydzielił go w wysokości miliarda sześciuset milionów franków. Kontrakt zawarliśmy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Od pewnego czasu gościmy, a raczej gościliśmy u nas kilkunastoosobowy zespół pracowników ANL, dla montażu, serwisu technicznego i tak dalej. Niektóre części maszyn okazały się złe lub wymagały uzupełnienia, więc odesłaliśmy je do Francji. Miały wracać sukcesywnie.

Zajrzał w notatki, przygryzł wargi, zastanawiając się nad czymś. Potem kontynuował:

– Sytuacja na dziś, w marcu osiemdziesiątego trzeciego, wygląda tak. Stoją, zbudowane przez nasze firmy, pomieszczenia dla trzech wytwórni. Jest część urządzeń i maszyn. Gotowe są dwie wytwórnie pomocnicze: kwasu fosforowego i kwasu siarkowego. Brakuje zaworu kulowego „Cameron” do amoniaku. Brakuje zareklamowanych części. Brakuje katalizatora, bez którego produkcja amoniaku typ W-154 jest niemożliwa. Już nie mówię o pomocy technicznej, serwisie, tym wszystkim, do czego ANL zobowiązała się w kontrakcie. Wczoraj kierownik francuskiego zespołu, pan Victor Mallet, oznajmił mi, że wycofuje cały swój personel. Wyjeżdżają, ponieważ nie zapłaciliśmy w terminie odsetek od kapitału. Jak wiecie, koledzy, dwa lata temu i rok temu sytuacja gospodarcza i polityczna kraju była, delikatnie

mówiąc, trudna. Rzeczywiście spóźniliśmy się ze spłatą odsetek. Tylko jeden jedyny raz! Po prostu nie było dewiz. Dostyc szybko jednak zapłaciliśmy, wyrównując zaległości. No i gdzieś tak od siedmiu, ośmiu miesięcy spłaty są realizowane punktualnie. Powiedziałem to Malletowi. Rozłożył ręce: jest pracownikiem ANL, wykonuje tylko jej zarządzenia. Jak się okazuje, ta cholerna firma zablokowała nam wszystkie dalsze lokowania zamówień na maszyny. Odmówiła odesłania reklamowanych części. Odmówiła dostawy „Cameronu” i katalizatora. Jednym słowem, zrobiła wszystko, żeby tu w Golewicach w ogóle nie ruszyła produkcja.

Umilkł, odkaszlnął. Popił zimnej herbaty.

– Mamy prawo skarżyć ich do sądu – odezwał się Jabłoński.

– Jakiego?

– Istnieje przecież międzynarodowy trybunał, nie znam dokładnej nazwy, bodaj w Wiedniu czy w Genewie.

– Nonsens. Nie wygramy. Niech pan będzie realistą, kolego!

– Może dla rozładowania ciężkiego nastroju przytoczę opowiastkę o żabojadach.

Dobrze? – spytał Sawicz.

Dyrektor uśmiechnął się. Lubił Sawicza, choć czasami skakali sobie do oczu.

– Proszę – mruknął. – Rzeczywiście, przyda nam się odrobina humoru.

– Pewien Francuz, postawiony przed sądem za zgwałcenie martwej kobiety, tak się tłumaczył: „Nie wiedziałem, że była martwa, myślałem, że to Angielka”.

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Jabłoński przechylił się do mówiącego i spytał szeptem:

– Masz to w domu?

– Francuza czy Angielkę?

– Nie. Książkę Archera „Czy powiemy prezydentowi?”, z której wzięłeś ten dowcip.

– Wziąłem, i co z tego? A książki ci nie pożyczę, bo zgubisz.

– Koledzy! – Dyrektor postukał długopisem w stół. – Kto ma sensowny pomysł, proszę zgłaszać.

Ponad dwie godziny trwała gorąca dyskusja. W jednym wszyscy byli zgodni: produkcja w „C-12” musi ruszyć. Tak szybko, jak tylko jest to możliwe. Padały więc najróżniejsze propozycje, śmiałe pomysły, ktoś rzucił nawet projekt, aby Francuzów po prostu nie wypuścić z Golewic, zanim nie wrócą reklamowane części i nie nadejdzie transport katalizatora. Kiedy wreszcie wyczerpali inicjatywę, zmęczeni się i umilkli, zabrał głos Sosnowiecki.

– Spróbuję streścić to, o czym mówiliśmy. Rzecz bezsporna: uruchomienie produkcji, wpierw amoniaku, zaraz potem mocznika, na koniec NPK. Sądzę, że dość szybko uporamy się z zaworem „Cameron”. Podejmuję się, z kilkoma kolegami, wykonać projekt. Znam hutę, która, jeżeli zechce, a o to postara się nasz naczelny dyrektor, bo ma na Śląsku znajomości – uśmiechnął się przelotnie – więc huta, o której myślę, potrafi zrobić „Cameron”. Gorzej z brakującymi reklamowanymi częściami. Być może uda się jednak zmusić ANL, aby je odesłała.

– Bardzo wątpię – wtrącił Zawadzki.

– Ale spróbować trzeba. Jeżeli próba się nie powiedzie, naciśniemy nasze ministerstwo. Trochę dewiz przecież nam podrzuci. Będzie odmawiać, my powiemy swoje, oni swoje, w końcu dadzą. Mamy w Paryżu przedstawicielstwo, niech zedrą nogi i gardła, ale niech poszukają i znajdą takie firmy, które nam sprzedadzą brakujące części. W najgorszym wypadku zrobimy je sami. To by było tyle.

Usiadł, poskubał brodę.

– A katalizator? – spytał ktoś. – Bez tego nie ruszymy.

Sosnowiecki wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Wiem tylko, że musimy go mieć. Skąd, w jaki sposób, kiedy... nie wiem. W Polsce nie robiliśmy dotąd własnego katalizatora do produkcji amoniaku W-154.

Nie ma się na czym wzorować. Na świecie każda większa firma strzeże tajemnicy składu swoich katalizatorów.

Dyrektor wodził wzrokiem po sali, zdawało się, że coś liczy. Potem powiedział, odmierając starannie każde słowo:

– Widzę tutaj jedenastu inżynierów-chemików, trzech techników z ukończoną chemią, sześciu ekonomistów, również sześciu inżynierów-mechaników. Widzę ludzi z dużą wiedzą i doświadczeniem. Niektórzy pracują w chemii nieorganicznej od kilkunastu lat. To wszystko widzę na tej sali... Panowie, rozumiemy się?

*

W połowie maja żar leciał z nieba niczym w środku lata. Zdawało się, że przyroda odrabia jakieś zaległości, bo dookoła wszystko gwałtownie rosło, zieleniło się, kwitło w przyspieszonym tempie. Nocami pomrukiwały dalekie burze, błyskało się na horyzoncie, ale chmury omijały Golewice.

Przydałoby się trochę deszczu – myślał Sosnowiecki, wychodząc z bramy Zakładów. Przystanął na chwilę, oddychał głęboko. Na małej, wysadzonej topolami uliczce powietrze było jeżeli nie bardzo czyste, to w każdym razie z pewnością o wiele czystsze niż w laboratorium.

W gruncie rzeczy był zadowolony z tego, czego dokonali w ciągu ostatnich kilku tygodni. Gotowy projekt zaworu kulowego „Cameron” zawiózł do huty i osobiście wręczył zespołowi najlepszych fachowców dyrektor Zawadzki. Naczelną huty był dawnym kolegą szefa „C-12”, obiecał więc, że zawór wykonają bardzo szybko mimo obiektywnych trudności.

Westchnął, ruszył z wolna ciemną już o tej porze uliczką w kierunku domu. Od kilku dni pracowali nad katalizatorem. Tkwili do późnego wieczora w podziemnym laboratorium: on, Jabłoński, Sawicz i główny technolog Ługaj. Właściwie to nie chcieli Ługaja, sądzili, że nie jest im potrzebny. Żaden z nich nie lubił tego inżyniera. Średniego wzrostu, tęgawy, rozgadany i gestykulujący... dobry chemik, to musieli mu przyznać. Ale nie pasował po prostu do ich zgranej trójki. Był – jako zastępca naczelnego – zwierzchnikiem, to krępowało. A choć starał się tego nie okazywać, bardzo chciał uchodzić za kumpla i swego chłopca. Czuli sztuczność takiego zachowania. Udawali więc, że nie rozumieją jego ostrożnych prób przejścia na ty, podkreślali w rozmowie: panie dyrektorze, chociaż zżymał się i irytował. Byli wobec niego grzeczni i sztywni jak kołki w płocie.

Nie mogli przecież tak po prostu powiedzieć mu: paszoł won, jak powiedzieliby zwykłemu koledze. Był szefem, w dodatku wyznaczonym przez Zawadzkiego, który wprawdzie nie kochał Ługaja, ale go doceniał.

Dziś jednak główny technolog nie przyszedł po południu do laboratorium: wypadł mu jakiś wyjazd do Warszawy i cała trójka odetchnęła z ulgą. Skończyli robotę, a raczej drobny jej fragment, sam początek; tamci wyszli trochę wcześniej, Sosnowiecki został jeszcze, aby uzupełnić notatki.

Wierzyli głęboko, że potrafią opracować katalizator i że zrobią to dobrze, na przekór Francuzom, restrykcjom i wszystkim diabłom, ile by ich nie było. Zaprawione goryczą dawne hasło: „Polak potrafi” przyjęli za swoje. Im teraz pasowało. I wcale nie było zabawne.

Sosnowiecki myślał o tym wszystkim po trochu, a także o tym, że jest głodny, ma apetyt na pierożki z mięsem, które jedli na obiad, ale Agnieszka zrobiła więcej, tak właśnie, aby można je było odgrzać w piecyku na kolację. Do tego zsiadłe mleko.

Przyspieszył kroku, wszedł na mały, łukiem przez rzeczkę przerzucony mostek. Było zupełnie ciemno, ktoś w tym miejscu zapomniał postawić latarnię. Kiedy schodził już z mostku, poczuł nagły, przeszywający ból w tyle czaszki. W oczach oślepiający błysk, szum jakby wiatru, cały świat odpłynął gdzieś bardzo daleko.

Powoli wracał do przytomności. Człowiek – nie znał tego głosu, w ciemności nie widział twarzy – pochylony nad nim mówił coś natarczywie, dotykał jego ręki, czegoś chciał. Sosnowiecki nie rozróżniał słów. Zdziwił się, że leży. Chciał wstać, ale nie mógł zrobić żadnego ruchu.

– Marian, słyszysz mnie? – wołał ktoś. – Marian, co się z tobą dzieje? Czemu tu leżysz?

Sam chciałbym wiedzieć – pomyślał, nagle jakby wytrzeźwiony. Zdziwił się po raz drugi, że od razu nie poznał głosu Zbyszka Sawicza. Poruszył wargami, odkaszlnął.

– Zaświeć lampę – poprosił ochryplym szeptem.

– Zgłupiałeś? Skąd ci tu na trawie wezmę lampę? Urzynałeś się, czy co? Wstawaj, przecież nie będziesz leżał do rana. Słuchaj – zaniepokoił się raptem – może ty chory? Zasłabłeś?

– Głowa – powiedział. Chciał jej dotknąć, ale wciąż nie był w stanie poruszyć ręką. – Zobacz.

Tamten wyjął zapalki, poświecił.

– Cholera, Marian, jesteś cały pokrwawiony! – krzyknął z przerażeniem. – Rąbnąłeś się o coś?

– Nie. Nie wiem...

– Możesz wstać?

– Chyba nie.

Sawicz zastanawiał się chwilę.

– Ja bym cię zatargał do domu, ale nie wiem, co się stało. Może nie powinienem cię podnosić. Musisz tu poczekać. Polecę po pomoc. Leż, nie ruszaj się! Ja zaraz wrócę.

Wrócił rzeczywiście po paru minutach wraz z Jabłońskim, który mieszkał tuż za mostkiem i na szczęście był w domu. Przynieśli latarkę. Sosnowiecki już ich nie usłyszał, bo zemdlał.

Ocknął się w szpitalu, na sali operacyjnej. Przygotowywano go do zabiegu. Głowę miał rozciętą, obawiano się z początku pęknięcia podstawy czaszki, nie było jednak aż tak źle. Chirurg zrobił, co do niego należało, potem ulokowano pacjenta na małej salce. Agnieszka, z zawodu pielęgniarka – choć od roku niezatrudniona w szpitalu, bo na urlopie wychowawczym – usiadła przy łóżku męża na wielogodzinny dyżur. Mały Jacek przeniósł się na razie do babci.

Sawicz z Jabłońskim jeszcze tamtej nocy znaleźli w trawie sporej wielkości kamień ze śladami krwi. Było już jasne, że Sosnowiecki został przez kogoś napadnięty i uderzony, być może z zamiarem pozbawienia życia. Jednakże fakt, że przestępca nie zabrał mu portfela ani zegarka, mógł też wskazywać na inne niż rabunkowe tło zamachu.

W Golewicach znajdowała się miejska komenda Milicji Obywatelskiej; miała od niedawna młodego, energicznego szefa w osobie kapitana Jerzego Skierki. Dyrektor Zawadzki, wstrząśnięty i oburzony napaścią na jednego ze swych najlepszych pracowników, bardzo liczył na tę energię i szybkie wyniki dochodzenia.

Kamień ze śladami krwi, jako ważny dowód rzeczowy, został umieszczony i zamknięty w szafie pancerniej komendy, a następnego dnia zawieziony do miasta wojewódzkiego, gdyż Golewice nie miały własnego laboratorium w wydziale kryminalnym. Biegły stwierdził, że krew jest ludzka, określił drobiazgowo jej właściwości, jak również cechy kamienia. Znalazł na nim linie papilarne co najmniej trzech osób; okazało się później, że ślady te należą do Sawicza, Jabłońskiego i Zawadzkiego, bo brali kamień do ręki, oglądali i wydziwiali nad nim parokrotnie. Tak więc jeżeli przestępca nawet zostawił tam swoje linie, były całkowicie zatarte.

Sosnowiecki po kilku dniach mógł już rozmawiać przytomnie i w miarę spokojnie. Był zresztą nie tyle przestraszony, ile zdumiony, kto i dlaczego usiłował go zgładzić.

– Ma pan wrogów, inżynierze? – spytał Skierko, siedząc na brzegu szpitalnego łóżka.

Sosnowiecki skubnął w zamyśleniu rudawą brodę. Jego szczupłą, wąską twarz z długim nosem przez tę brodę wydawała się jeszcze dłuższa. Dotknął bandaża na głowie, wzruszył ramionami.

– Skądże! – odrzekł. – Oczywiście, każdy ma jakichś tam ludzi niezycliwych, nieraz się z tym czy owym pokłóciłem. Ale wrogów? Nie. Jeżeli mnie pamięć nie myli, w swoim czterdziestodwuletnim życiu nie wyrządziłem nikomu krzywdy. Nie odbiłem dziewczyny, nie wyprzedzałem w kolejce do mieszkania ani do samochodu. Nie zbierałem nagród – uśmiechnął się.

– I nic pan wtedy nie słyszał? Żadnych kroków za sobą? Nikogo pan, nie zauważył?

– Nie. Tam było ciemno. Dziwię się nawet, że Zbyszek rozpoznał mnie, kiedy leżałem w trawie. Mógł myśleć, że to jakiś obcy pijak.

– Po tej koszuli w czerwonej kratę – mruknął Sawicz, asystujący przy rozmowie. – Poza tym nie było tak bardzo ciemno. A swoją drogą, żeby nie wrócił po teczkę, leżałbyś... no, nie chcę myśleć.

– Mogłem się wykrwawić, do rana bym nie wytrzymał.

– O której pan wyszedł z Zakładów? – spytał kapitan. Chociaż wszystko było już dokładnie opisane przez oficera prowadzącego sprawę, Skierko chciał to usłyszeć.

– Z laboratorium wyszedłem dokładnie sześć minut po dwudziestej drugiej; zamykając drzwi spojrzałem na zegarek. Do bramy przy portierni idzie się jakieś, powiedzmy, osiem minut. Nie, lepiej przyjmijmy, że dziesięć, bo nie śpieszyłem się. Więc już mamy szesnaście. Od bramy do mostku... dwanaście minut. Razem dwadzieścia osiem, może pół godziny. Tereny Zakładów są bardzo rozległe – zamyślił się znowu. – Wie pan, kapitanie, zastanawiam się teraz, czy nie spotkałem kogoś po drodze. Idąc od laboratorium do wyjścia, tego głównego, przechodzi się najpierw obok pierwszego konwertora do syntezy amoniaku, potem jest jedna pusta jeszcze hala. Minałem wieżę syntezy mocznika i kotłownię, zatrzymałem się na chwilę przy budynku administracyjnym, żeby zapalić papierosa, ale okazało się, że zostawiłem je w marynarce, a marynarkę w laboratorium. Nie chciało mi się wracać, więc poszedłem dalej. Potem jest już tylko stołówka, ambulatorium i portiernia. Pamiętam, że przy magazynie stołówki kręciły się jakieś osoby, stała ciężarówka, wyładowywano pojemniki z pieczywem czy wędliną. Przy wytwórni kwasu siarkowego minął mnie jeden z wartowników.

– Tak, sprawdziliśmy – potwierdził kapitan. – A później, na drodze do mostku?

– Później już nie widziałem nikogo. Ale tam są krzaki, drzewa, mógł ktoś stać ukryty.

– Czy często wraca pan do domu o tej godzinie? I tą drogą?

– Tą drogą to zawsze, bo mi najbliżej do domu. A o godzinie... czy ja wiem? Różnie bywa.

– Od kilku dni pracujemy wieczorami w laboratorium – wtrącił Sawicz. – Zwykle wracamy razem, w każdym razie do mostku, bo potem każdy idzie w swoją stronę. Tamtego dnia ja z Januszem Jabłońskim wyszliśmy trochę wcześniej, a Marian jeszcze został.

– Kapitanie, chyba to był zwyczajny napad rabunkowy – rzekł Sosnowiecki. – Złodziej chciał mnie ogłuszyć i obrabować, ale ktoś go widać spłoszył, więc nie zdążył zabrać, co tam miałem przy sobie. Niewiele, bo w portfelu tylko pięćset złotych. No, zegarka bym żałował, to chronometr szwajcarski.

– Owszem, taką wersję bierzemy pod uwagę. Taką również – zaznaczył.

Sosnowiecki poruszył się, skrzywił, bo głowa wciąż bolała. Zastanowiły go ostatnie słowa oficera.

– Również? – spytał zdziwiony. – A jakie są te inne?

Skierko nie odpowiedział. Wstał, pożegnał się, życząc szybkiego powrotu do zdrowia, i wyszedł.

*

– Panie Ługaj! – powiedział naczelny. – Jak idzie praca nad katalizatorem? Kiedy Sosnowiecki wróci do roboty?

Ługaj zachnął się, nie podobały mu się aż dwa pytania naraz.

– Ciężko będzie – odparł. – Nie mamy dostatecznej ilości składników chemicznych do przeprowadzania prób. Ja się staram – uprzedził pytanie – szukam, byłem w Katowicach, w Puławach, gdzie się da. Ale to musi potrwać.

– Jak długo?

– Pół roku. Albo i dłużej.

– Pan ma źle w głowie! – krzyknął Zawadzki. – Katalizator musi być gotowy najdalej za trzy miesiące. Co z Sosnowieckim?

– Wraca w poniedziałek. Trzy miesiące? – powtórzył z ironią. – W takim terminie to można sobie altankę na działce postawić, ale nie wyprodukować katalizator.

– Po pierwsze, siedzicie nad tym już pięć tygodni. A po drugie, panie Ługaj, nie żyjemy w normalnych czasach.

– To moja wina? – wykrzyknął z urazą. – Ja nie kazałem Francuzom wyjeżdżać. Do końca roku, taki jest realny termin wykonania katalizatora.

Zawadzki poczerwieniał, oczy mu rozbłyły gniewem.

– Trzy miesiące – odparł z naciskiem. – Potem mogę waszemu zespołowi dać nawet dwumiesięczny urlop. A teraz idź pan do roboty, żebym nie zapomniał, kto jest tutaj głównym technologiem. Żebym nie żałował... – Nie dokończył, machnął ręką.

Ługaj wyszedł obrażony, niedoceniony i straszliwie wymęczony piekielnym upałem, który za nic nie chciał zelżeć.

Wieczorem po kolacji postanowił się przejść za miasto. Mieszkał z matką, zasuszoną panią po siedemdziesiątce, która wpięrw komenderowała mężem, potem córką, aż ta wyniosła się z domu, wreszcie synem. Dbała o niego, pilnowała, żeby nie zachorował, nie zadawał się z „kobietami lekkiego prowadzenia”, a także aby nie ożenił się wbrew jej woli i gustom. Dlatego z energią tępiła jego damskie znajomości i sympatie, a obdarzona dużą spostrzegawczością, złośliwa z natury, wyśmiewała je tak skutecznie, że w wieku czterdziestu lat był wciąż kawalerem. Nie miał do niej żalu. W gruncie rzeczy bał się małżeństwa. Bał się, że zszedłby wówczas na drugi plan, bo musiałby dbać o żonę, dom, dzieci, wczasy, szkołę itd. Matka zapewniała mu smaczne, obfite jedzenie, czystość i porządek w mieszkaniu, pochlebiała mu, gdy awansował, milkła, kiedy on zabierał głos. Był tutaj od dawna pierwszą osobą, tak mu się zdawało i o tym go zapewniała każdego dnia, choć to niezupełnie było prawdą. Syn posłuszny, dobrze zarabiający, domator, oto był jej ideał i takim go urobiła. Nie zniosłaby w domu innej kobiety. Wacław Ługaj żył więc, tył, pracował, kupował to i owo do mieszkania i zdawało się, że niczego więcej nie pragnie.

Gwizdnął na psa, śpiącego pod werandą, i wyszli na spacer. Upał zelżał trochę, na zachodzie znów się błyskało. Ługaj kroczył powoli, czasem oglądał jakąś wystawę, czasem przystanął na chwilę, aby porozmawiać ze znajomym. Pies poszczekiwał na inne psy, bo nie lubił konkurencji, i zapędzał się za kotami. Rosły, płowy wilczur – odwrotnie niż jego pan – nie słuchał starej pani, którą lekcewał, chociaż dawała mu jeść.

Doszli do krańca miasteczka i zapuścili się na łąkę pod lasem. Zakłady „C-12” znajdowały się po drugiej stronie Golewic; tutaj przemysł jeszcze nie wkroczył, panowała wiejska cisza, pachniały trawy i jaśmin. Wacław przysiadł na zwalonej barierce, która kiedyś okalała pastwisko. Pies zatrzymał się nagle, zjeżył sierść i zawarczał.

– Uspokój to bydłę – powiedział ktoś, podchodząc bliżej.

– Reks, do nogi! – zawołał Ługaj. Przytrzymał wilczura, pogłaskał.

Przechodzień usiadł obok inżyniera, wyciągnął paczkę marlboro. Nie częstował, wiedział, że tamten nie pali. Milczeli chwilę. Pies wyrwał się i pobiegł na łąkę, bo dojrzał zająca.

– No, jak? – spytał przybysz. Płomień zapalniczki oświetlił na chwilę jego twarz z krótkim, ściętym nosem i niedbale rozrzuconymi włosami. Wystająca broda i wąskie wargi wskazywały na stanowczość i upór.

– Z czym? – spytał Wacław, nie patrząc na niego.

– Robicie?

– Przecież wiesz.

– Wiem, że się do tego przykładasz – zaśmiał się urągliwie.

– Muszę.

– Bardzo dobrze. To znaczy, dla nas dobrze – dodał.

– Pewnie! – wzruszył ramionami. – Jestem w samym centrum tego interesu. To się liczy, rozumiesz?

– Rozumiem. Chciałbym jednak, żebyś pamiętał o starej maksymie: co kilku, to nie jeden. W pojedynkę każdy z nas jest zero.

– W tej sprawie, oczywiście – zaprotestował Ługaj. – Wyłącznie w tej sprawie. Wcale siebie za zero nie uważam. Ani ciebie, zresztą – dodał łaskawie.

– A Darka? – spytał tamten z rozbawieniem w głosie.

– Owszem, Darek jest dobrym fachowcem. Ale to tylko technik.

– Doskonały technik-elektryk. Właśnie taki, jakiego nam potrzeba. Powinieneś również doceniać Mirosława. Przyjdzie moment, w którym on będzie najważniejszy.

Ługaj zastanowił się, uniósł brwi w górę.

– Co masz na myśli?

Nie widział, ale wyczuł w ciemności, że tamten uśmiechnął się.

– Mniejsza o to. To jeszcze dość odległa przyszłość. Jak sądzisz, kiedy skończycie?

– Nie mam pojęcia.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI